

Czternastu alpinistów.

Jadąc w Ałtaj niewiele wiedziałem o tych górach. Wyobrażałem je sobie na podstawie kilku zdjęć znalezionych w Internecie, opisów i zasłyszanych historii. Wyobrażałem sobie, że są dzikie i wspaniałe, że jest tam wiele możliwości nowatorskich wspinaczek, przypuszczałem też, że na takim odludziu można liczyć tylko na siebie i partnera. Jak miało się okazać, nie myliłem się. Z Katowic jedziemy pociągiem do Moskwy, tu przesiadamy się na samolot i lecimy do Nowosybirsk, dwumilionowego miasta, leżącego w centralnej Syberii, nad rzeką Ob. Poza nieodpartym wrażeniem, że wszystko jest tu w rozmiarze XXL, niczym się nie różni od innych miast. Blokowiska, szaro-bure ulice, kominy i brak zieleni. Na prywatnej kwaterze odsypiamy podróż i szykujemy się do jej drugiego etapu, przejazdu pociągiem do Bijska, z którego ruszymy do Bazy Wysotnik, u podnóża Gór Katuńskich.

W Bijsku spotykamy się z moim przyjacielem i kierownikiem wyprawy Jurą Jermaczkiem. Poznajemy też pozostałych członków 11-osobowej rosyjskiej ekipy. Jeszcze w drodze nawiązujemy dobry kontakt, ja w miarę dobrze mówię po rosyjsku a Rosjanie rewanżują się znajomością angielskiego.

Wystarczy wyjechać z Bijska, żeby poczuć klimat Syberii, małe drewniane domki przycupnięte za ogrodzeniami zrobionymi ze wszystkiego, ogródki z rzodkiewką i toalety z serduszkami w drzwiach. Na targu króluje miód, ogórki małosolne i pierożki z kapustą własnej roboty. Przypomina mi się Kaukaz sprzed 10 lat. Jednak nawet do Rosji dotarła globalizacja, każde piwo smakuje tak samo, dlatego jeśli mamy wybierać, to wolimy uroki „Ałtajskiego Wieczoru”, całkiem przyzwoitej miejscowej wódki. W drodze do Južnoałtajska przekraczamy trzy przełęcze, gdzie zaskakuje nas duża ilość śniegu. W krótkich spodenkach trochę śmiesznie wyglądamy na tle zwałów śniegu. Po 12 godzinach szosa kończy się, pokonujemy się jeszcze przeprawę rzeczną i docieramy do Bazy Wysotnik. Jura rozdziela ludzi do pokojów, zarządza odprawę w bani i kolację. Śpię jak suseł, zmęczony kolejnymi dwoma dniami podróży. Rano pakujemy wory i po śniadaniu ruszamy w trasę. Nasze plecaki są lżejsze w sumie o 150 kg, bo właśnie tyle wrzucamy na wynajęte konie.

Etap I. Baza „Wysotnik” – Polana Trzy Brzozy. (17 km/845 m - 1535 m - 1160 m/5.30 h).

Idziemy przez wieś, zabłocone dróżki prowadzą nas nad rzekę, tu naszym oczom ukazuje się most a właściwie coś, co mostem być powinno. Rozsypaną się kładką przechodzimy na drugą stronę i ruszamy lasem w kierunku widocznych na horyzoncie gór. Po godzinie marszu docieramy do wielkiej polany, na której psie się stado koni. Przed nami otwiera się wspaniała panorama Gór Katuńskich. Na skraju polany robimy sobie pierwszy odpoczynek, wszyscy mówią o królujących na Syberii kleszczach. W tym roku jest ich bardzo dużo, przenoszą zapalenie opon mózgowych, zwane potocznie przez Rosjan „encefalitem”. Zaczynamy podejście na przełęcz Kuzujak. 600 m w pionie, w terenie zbliżonym do naszych Beskidów, nie jest dla nas męczące. Na przełęczy pierwszy melduje się Jura Junior, następnie ja, Dorotka i Sieroga. Wszędzie leży śnieg, co upewnia nas w przekonaniu o słusznym wyborze ciężkich butów na trekking. Jednak po drugiej stronie przełęczy śnieg ustępuje trawie, która właśnie zaczyna się zielenić po roztopach. Jak powiedział nam napotkany w drodze pasterz, wiosna w tym roku spóźniła się o półtora miesiąca, drzewa nawet nie zdążyły wypuścić liści i otoczenie wydaje się nieco surowe. Schodzimy w kierunku koryta rzeki Akkem, by nad jej brzegiem skręcić w lewo, stąd już tylko 30 minut marszu do miejsca naszego pierwszego biwaku. Nasz sprzęt dociera tu na koniach, druga jego część, w tym liny, raki, czekany, pojedą na koniach do jeziora Akkem. Rozbijamy namioty, rozpalamy ognisko, Jura wyznacza pierwszą parę dyżurnych, którzy gotują posiłki dla wszystkich. Na kolację kasza z tuszonką, na śniadanie ryż z mlekiem, jest też herbata.

Etap II. Polana Trzy Brzozy – Polanka pod Wodospadem (18 km/1160 m – 1550 m/8,10 h). Ruszamy przez gęsty las bagnistą ścieżką. Skaczemy po kłodach, korzeniach, brodzimy w ogromnych kałużach, przedzieramy się przez krzaki. Z powodu błota droga kojarzy mi się z ugandyjskimi Górami Księżycowymi a z powodu komarów z dzikością Kamczatki. Nasz szlak jest swoistą krzyżówką tych klimatów. Co pół godziny dokładnie sprawdzamy swoje ubranie, włosy, szyję, szukamy kleszczy. Tego dnia zdejmuję z siebie trzy, do końca wyprawy znajdę kolejne trzy. Na szczęście żaden mnie nie ukąsił. Inni nie mają tyle szczęścia ale jak to mawiają: każdy ma swojego kleszcza... . Po 5 godzinach przebijania się przez puszcę dochodzimy do Aakkemu, gdzie stajemy na zasłużony odpoczynek. Podziwiamy groźną rzekę i z zaciekawieniem rozglądamy się wokół, bo spod 30 kilogramowego plecaka świat wygląda inaczej. Zjadamy skromny posiłek i ruszamy w górę rzeki do miejsca drugiego biwaku. Osiągamy je po dwóch godzinach marszu.

Czujemy się zmęczeni ale chętnie kąpiemy się w lodowatej rzece, jemy kolację i natychmiast zasypiamy w namiocie.

Etap III. Polana pod Wodospadem – jezioro Akkem (11 km/1550-2020 m/ 4 h).

Poranek wita nas piękną pogodą, w blasku słońca możemy podziwiać oba wierzchołki Biełuchy. Ten wyższy, przycupnięty po lewej stronie, wydaje się bardziej stromy i nie tak rozległy jak zachodni ale oba budzą respekt, nawet z tak dużej odległości. Jemy obfite śniadanko i ruszamy w trasę. Błoto się nie kończy, jednak jesteśmy już dosyć wysoko i nocami mróz ścina glebę, dlatego idzie się nam łatwiej. Z wolna drzewa przestają zasłaniać nam widoki, naszym oczom ukazują się wspaniałe otoczenie jeziora Akkem. Pokryte śniegiem szczyty, lśniąca lodowca i błękit wody, tworzą unikalny klimat. Przez torfowisko dochodzimy do stacji meteorologicznej, kilka zaniedbanych drewnianych budynków robi przygnębiające wrażenie. My idziemy jeszcze kawałek do „beczek”, bazy miejscowych ratowników. Tu spędzamy noc. Ale zanim Dorotka i ja zabierzemy się do gotowania kolacji, bo dziś wypada nasz dyżur przy ognisku, idziemy jeszcze do czakramu, miejsca ziemskiej energii, położonego w bocznej dolinie. Wieczorem podajemy kaszę ze słoniną, herbatę i kisiel, Jura gra na gitarze. Podczas kolacji poznajemy też Szarika, psa opiekuna bazy MCzS, który dołączy do naszej ekipy. Bierzymy też kąpiel w bani, co przywraca nam świeżość. Dzielimy sprzęt wspinaczkowy, żywność, gaz, między członków zespołu. Kierownik wydaje jasną dyspozycję: oprócz sprzętu osobistego panowie biorą po 7 kg extra, panie po 3 kg. Teraz nasze wory wyładowane są już solidnie.

Etap IV. Jezioro Akkem – Tomski Biwak. (17 km/2020 m – 3000 m/7,45 h).

Kolejny piękny dzień, wyspani, po dobrym śniadaniu, mamy sporo energii do marszu, a trasa przed nami długa. Przez pierwszą godzinę obchodzimy jezioro i wznosimy się po morenach do małej cerkwi, zbudowanej dla uczczenia śmierci jednego z alpinistów. Dalej maszerujemy morenami ponad lodowcem Akkem. Droga po rumoszu daje nam w kość, bo nogi wyginają się w każdą stronę a ciężkie wory nie ułatwiają złapania pionu. Wreszcie postanawiamy zejść na lodowiec, by po śniegu wygodniej kontynuować marsz. Kluczając między szczelinami docieramy do celu ale zbliża się południe, więc na lodowcu robi się koszmarnie gorąco. Co godzinę zdejmujemy buty, żeby nie odparzyć nóg i pijemy hektolitry wody. Jeszcze jedno strome podejście i wreszcie widać schron. Metalowy barak przycupnięty na lewym skraju lodowca. Mały, brudny, pozbawiony jakichkolwiek wygod dla nas jest naszym pięciogwiazdkowy hotel. Z radością rozkładamy kuchenki i przystępujemy do topienia śniegu, trzeba go stopić bardzo dużo by ugasić nasze pragnienie. Powoli dochodzą kolejni uczestnicy wyprawy, Denis, Żenia, Aliona, przychodzi też Sierioğa narzekający na miękki śnieg na lodowcu, w którym zapadał się po uda. Zajadamy się chińskimi zupkami z sałm i tuszonką, to prawdziwe rosyjskie przysmaki. Mamy też sporo żywności liofilizowanej, którą oszczędzamy na kolejne etapy, bo przecież nikt z nas nie wie co przyniesie jutro?

Etap V. Tomski Biwak – Lodowiec Mensu (5 km/3000 m – 3500 m – 3260 m/8.30 h).

Noc w ciasnym baraku mija nam spokojnie, w grupie było ciepło a nieszczelności na oknach zapewniły nam dopływ świeżego powietrza, gdyby tylko Witalij tak mocno nie chrapał, to byłoby siódme niebo. Od 5.00 rano krzątamy się przygotowując plecaki, jedzenie, obserwujemy też pogarszającą się pogodę. O 7.00 zespół rusza w kierunku liczącej 3500 m przełęczy Delane, najwyższego punktu jaki zaliczymy tego dnia. Śnieg jest głęboki, mozolnie torujemy drogę po lodowcu, tak już będzie przez cały dzień. Wreszcie zaczyna się strome podejście, Jura nakazuje założenie poręczówek, co z Aleksiejem, Jurą Juniorem i Sierioğą robimy. Po trzech godzinach wszyscy, łącznie z psem, meldujemy się na „pierewale”. Staramy się wygonić Szarika do domu ale on nic sobie nie robi z naszych krzyków. Wszyscy myślą, że instynkt mu podpowie kiedy ma zawrócić. Jednak Szarik napiera dalej, czym wprawia nas w zdumienie. Staje się 14-tym członkiem naszej ekipy. Z przełęczy otwiera się nowy, piękny widok w kierunku wschodnim. Widzimy lodowiec płaski jak stół i ściany najeżone serakami górujące nad nim. Ciekawe ile tam jest dróg? Teraz czeka nas mozolne zejście do miejsca kolejnego biwaku, znowu torowanie w upale, skoki przez szczeliny, ryzykowne mosty śnieżne. Wreszcie dochodzimy do zachodniego krańca lodowca Mensu, pod przełęczą będącą granicą Rosji i Kazachstanu. Tu zakładamy obóz. Dorotę boli głowa, ja czuję się znużony ale nie zmęczony, gotuję i przez okienko w namiocie robię kilka zdjęć otaczających nas urwisk. Tymczasem nadciągają chmury i burza wisi w powietrzu. A mnie do głowy przychodzi absurdalne pytanie: jak daleko trzeba zejść żeby się zabić?

Etap VI. Lodowiec Mensu – Przełęcz Bierielewskiego (3 km, 3260 - 4000 m, 6,20 h).

Burza przychodzi w nocy, wiatr targa namiotem, nie pozwala nam zasnąć. Śnieg pada do rana, dzięki czemu kolejny odcinek trasy musimy torować na zmiany. Każdy walczy z przodu 3-5 minut, po czym wraca na koniec szeregu. Jesteśmy dosyć skuteczni, po godzinie osiągamy przełęcz (3400 m). Spotykamy tam alpinistów uzbeckich, którzy próbowali jako pierwsi w tym sezonie wejść na Biełuchę, nie udają się im. Po krótkiej rozmowie, żegnamy się i każda grupa rusza w swoją stronę. Wytrwale brniemy pod górę lawirując między szczelinami. Obchodzimy masyw Biełuchy dookoła, znajdujemy się już na jej południowej flance. Teraz Zapadna, czyli ta niższa, jest po naszej lewej stronie. Podziwiamy ogromnie seraki rozmieszczone niczym korale na stoku między obiema górami. Jeszcze tylko musimy przekroczyć ogromną szczelinę, na której znajduje się jedyny most, i droga

do przełęczy Bierielewskiego stoi przed nami otworem. Pogoda stabilizuje się, otwierają się piękne widoki na otaczające nas góry. Jest to prawdziwe morze gór, oceniamy widoczność na 60-80 kilometrów. Zakładamy obóz i jeszcze przed kolacją wychodzimy na Pik Bierielskiego (4040 m). Ze szczytu obserwujemy jak zespół Jury zakłada trzy poręczówki na filarze Bieluchy Wastocznej. Jutro mamy go pokonać w 12-godzinny ataku szczytowym.

Etap VII. Przełęcz Bierielskiego – Bielucha - Przełęcz Bierielskiego (1,5 km, 4000 m – 4506 m – 4000 m/12.15h).

Mimo naszych starań akcja na filarze przebiega dosyć wolno, mozolnie przewieszamy linę za liną, trudności w rosyjskiej wycenie 3 b, w mojej ocenie AD- . Na 5 wyciągu nasz pies nie daje już rady, Sierioga, który jest ratownikiem na Uralu, lituje się nad nim i wsadza go do swojego plecaka. Szarik wcale nie jest lekki, waży ok. 12 kg, mimo to Sierioga niesie go do góry. Tymczasem my kończymy skalny filar. Na 250 m pionu wypada nam chyba 9 wyciągów, dalej mamy przed sobą łatwe plateau i kolejny stromy filar, tym razem całkowicie zaśnieżony. Pokonujemy szczelinę brzeżną i znowu w ruch idą liny. Jeden wyciąg, drugi wyciąg, trzeci... i jeszcze trochę, wreszcie teren kładzie się. Jura Junior, Aleksiej i ja wychodzimy na grań szczytową, nią już tylko 50 metrów do ozdobionego gigantycznym nawisem śnieżnym wierzchołka. Dochodzę do triangułu, macham chłopakom, prawie się nie słyszymy, bo wiatr tak mocno wieje.

Idę jeszcze trochę w kierunku północnym by z góry zobaczyć jezioro Akkem. Przychodzą kolejni wspinacze, wśród nich Dorota. Tuż przed szczytem, na twardym lodzie, Żenia z Dorotą tracą równowagę i padają na kolana. Szczęśliwie kończy się tylko na strachu. Tak to właśnie jest w górach, do nieszczęścia czasami wystarczy chwila rozluźnienia... . Obie panie mocno przestraszone wreszcie stają na wierzchołku, przychodzi też Aliona, Jura, Witalij, Denis i oczywiście Sierioga z Szarikiem na plecach. Wszyscy bardzo się cieszymy, robimy wspólne zdjęcia. Pytam Jurę w jaki sposób będziemy schodzić? Jura decyduje, że wszyscy zjeżdżają na linach, a ostatni schodzi na dziabach, tym ostatnim jestem ja, zgłaszam się na ochotnika.

Śnieżną część filara pokonujemy szybko, na skalnej tworzą się zatory, bo tu i ostatni musi czasem zjechać. Wiatr jest bardzo mocny, jesteśmy ubrani we wszystkie ciepłe rzeczy, puchówki i goretexy. Wreszcie o 19.30 meldujemy się na przełęcz. Pogoda nadal jest dobra, zatem proponuję żebyśmy schodzili niżej, jednak Witalij torpeduje mój pomysł odpowiadając, że pójdziemy zgodnie z programem, czyli nocujemy drugi raz w obozie trzecim. Gdybym wtedy wiedział, że jednego z nas ta decyzja będzie kosztowała życie, to zapewne bym protestował, jednak było inaczej.

Po kolacji odwiedzam namiot Jury, chcę zadzwonić do Polski. Rozmawiamy chwilę o dalszej akcji, Jura wydaje mi się przybity a może jest tylko zmęczony? Wychodząc z namiotu rzuca uwagę o pogorszeniu pogody, na którą Jura reaguje z niepokojem. Czy już wtedy wiedział, że Sierioga jest chory? Czy obawiał się, że burza może nas zatrzymać w trójce na dobę albo dwie?

Etap VII. Przełęcz Bielielewskiego – Jezioro Akkem 27 km /4000 m-2020 m/ 20 h).

Rozpoczyna się potężne załamanie pogody i trwa cały następny dzień. Widoczność poniżej 5 metrów, wiatr tak silny, że oddychać nie można, z Dorotką na zmianę z trudem odkopujemy namiot. Przychodzi Jura i informuje nas, że Sierioga ma obrzęk płuc. Pyta nas o leki. Mamy dexametazon w ampułkach, furosemid, diuramid, wszystkie leki oddajemy potrzebującemu. Jednak wiemy, że nie mamy tlenu a najlepszym wyjściem dla chorego jest natychmiastowe zejście w dół. Jura odmawia, tłumaczy mi, że w tej pogodzie wszyscy zamarzniemy. Jestem zupełnie bezradny, siedzę w namiocie i mam pełną świadomość, że obok w namiocie umiera człowiek a ja mu nie potrafię pomóc. Czuję się okropnie. O 23.45 Sierioga umiera. Krzyk Żeni wszystkim to oznajmia, my tego jednak nie słyszymy, bo wiatr wszystko zagłusza. Buran trwa całą noc. Ranek przynosi poprawę pogody, widoczność na 15 metrów ale wiatr nie jest już tak mocny. Gaz i jedzenie praktycznie skończyły się, zatem nie mamy wyjścia, schodzimy. Szarik niespokojnie kręci się wokół namiotu Sieriogi, kiedy orientuje się, że Sierioga nie będzie schodził z nami zaczyna biec na oślep, przed siebie, wreszcie znika we mgle. Chyba nikt z nas nie spodziewa się, że jeszcze go zobaczymy. Mamy GPS, staramy się iść w dół po zapisanym wcześniej śladzie podejścia ale wśród szczelin jest to bardzo ryzykowne, tracimy dobrą godzinę na zlokalizowanie wąskiego mostu śnieżnego, który sprowadza nas poniżej największej szczeliny. Wraz ze spadkiem wysokości trafiają się lokalne przejaśnienia, dzięki czemu mamy jakieś punkty odniesienia, łatwiej jest nam poruszać się w tej bezkresnej bieli. Ku uciesze wszystkich odnajduje się też nasz pies. Szarik wydaje się być zadowolony, że odnalazł nas, wita się z każdym, po czym wybiega przede mnie i na oczach wszystkich wpada do szczeliny. Myślę sobie, że teraz to już faktycznie po nim, ale nie! Sprytnie psisko znajduje boczne wyjście i samodzielnie wydostaje się z lodowej czeluści. Już bez większych kłopotów schodzimy na lodowiec Mensu, tu robimy pierwszy odpoczynek. Dalej czeka nas podejście na Przełęcz Delane i zejście do Tomskiego Biwaku. Etap ten kończymy o godzinie 18.30. Jemy kolację i ruszamy lodowcem Akkem w kierunku jeziora i stacji meteo. Droga przez roztopiony lodowiec daje we znaki wszystkim, tak samo jak pokonywanie stromych moren po ciemku. Jak to się stało żeśmy nóg nie połamali, tego nie wiem ale około 1.00 w nocy odnajdujemy kładkę, która wyprowadza nas na brzeg jeziora, stąd już tylko godzina marszu do bazy ratowników. Dobrze po 2.00 kładę się spać, o 9.00 budzę się z drgawkami. Pięć godzin snu to dla mnie za mało, żeby

organizm mógł się zregenerować po 20-tu godzinach marszu. Łykam aspirynę i pakuję plecak, bo kolejnego etapu nikt za mnie nie przejdzie. W międzyczasie przylatuje śmigłowiec, ratownicy rozmawiają z kierownikiem naszego zespołu i lecą po ciało Sierioży. Jednak nie znajdują go, wracają jeszcze raz do nas i tym razem z Jurą na pokładzie lecą na przełęcz. Wszyscy w milczeniu patrzymy na stalowego kolosa, który unosi naszego kolegę w ostatnią podróż, podróż do domu.

Etap VIII. Jezioro Akkem – przełom rzeki Akkem (19 km/2020 m – 1500 m/5.40 h). Schodzimy, mimo nawarstwiającego się zmęczenia idzie się nam całkiem dobrze, plecaki nadal ciężkie, ale co z górki, to z górki. Jakoś docieramy do ustalonego miejsca biwaku. Jednak dochodzi tam tylko pięć osób, pozostali są już zbyt zmęczeni, mają poranione stopy i nie dają rady. Długo siedzimy przy ognisku rozmawiając o tym wszystkim, co się stało.

Etap IX. Przełom rzeki Akkem – Baza Wysotnik (20 km/1500 – 845 m/7.30 h). Rano gotuję śniadanie na ognisku, zjadamy ostatnie kaszki i liofila, który bardzo smakuje Rosjanom, chwalam mnie, że to było najlepsze śniadanie podczas całej ekspedycji. Dziś czeka nas długi, pożegnalny spacer, znowu przedzieramy się przez las, pokonujemy błota, zdejmujemy z siebie kleszcze, wreszcie dochodzimy do polany Trzy Brzozy. Tu czekają na nas konie, możemy oddać większość sprzętu na ich grzbiet. Ja dosiadam jednego rumaka i do bazy „Wysotnik” przybywam konno. Po Andach, Pamirze i Himalajach, Ałtaj to kolejne góry, w których mam okazję pojeździć konno. Do wieczora cały nasz zespół dochodzi do bazy. Wreszcie możemy się umyć w bani i zjeść porządną obiad.

Kolejny dzień poświęcamy podróży do Bijska, z którego pociągiem udajemy się do Nowosybirsk. Tu odpoczywamy jeden dzień przed odlotem do domu. Przychodzi czas na podsumowania. Z jednej strony czujemy satysfakcję z wejścia na Biełuchę, dopiero teraz widzimy jaką trudną górą jest i jakim wysiłkiem trzeba okupić jej zdobycie. Dorota jest pierwszą Polką, której udało się tego dokonać. Z drugiej strony śmierć kolegi nie pozwala się nam cieszyć z sukcesu. Właściwie postrzegam tę wyprawę jako swoistą porażkę, bo wobec takiej tragedii żaden sukces obronić się nie może. Czy mogliśmy zrobić coś więcej? To pytanie będzie mnie długo jeszcze dręczyło. Na zakończenie chciałbym serdecznie podziękować Dorocie Jarosz za udział w wyprawie i za to, że była świetnym partnerem.

Bogusław Magrel